

Maria Dermoût „Dziesięć tysięcy rzeczy” (*De tienduizend dingen*, Amsterdam 2004) –  
fragment op blz. 9–20

Przekład: Iwona Mączka

Wyspa

Na jednej z wysp archipelagu Moluków po epoce plantacji korzennych pozostało jeszcze kilka ogrodów – zaledwie kilka – zresztą nigdy nie było ich tam zbyt wiele. Na wyspie tej nie mówiono o „plantacjach”, lecz zawsze o „ogrodach”.

Ogrody te leżały teraz, jak i wówczas, rozrzucone tu i ówdzie nad obiema zatokami – wewnętrzną i zewnętrzną – a w nich znajdowały się zarośla drzew korzennych: goździkowiec rósł tam obok goździkowca, muszkatołowiec obok muszkatołowca, pomiędzy nimi kilka drzew rzucających cień, przeważnie kanareczniki, a od strony zatoki osłaniające przed wiatrem palmy kokosowe i platany.

Żaden z domów nie zachował się w całości; zwały się podczas trzęsienia ziemi, a potem gruzy uprzątnięto. Gdzieniedzie pozostał fragment budynku: jakieś skrzydło, jeden pokój. Postawiono przy nich później przybudówki – przeważnie skromne, drewniane pomieszczenia.

Co zachowało się z całej świetności?

Czasem jednak wydawało się, że w ogrodach pozostało coś z zamierzchłej przeszłości, tego, co tak dawno przeminęło.

W słonecznym miejscu pomiędzy niewielkimi drzewami – tak mocno zaczyna tutaj pachnieć przyprawami, gdy zrobi się ciepło...

W cichym, opuszczonym pokoju z oryginalnym, jeszcze holenderskim, otwieranym do góry oknem i szerokim parapetem...

Na kawałku plaży pod platanami, o który uderzają trzy fale przyboju, jedna za drugą, jedna za drugą, jedna za drugą...

Co to było?

Wspomnienie kogoś, czegoś, co się wydarzyło, może przetrwać gdzieś niemal namacalne – czy nadal żyje ktoś, kto o tym słyszał i czasem to wspomina, zastanawia się, czy było jednak inaczej? Żadnego punktu zaczepienia, żadnej pewności – nie więcej niż pytanie, jakieś „być może”.

Czy ówcześni kochankowie, obejmując się, szeptali: „na zawsze”, czy też rozchodzili się pośród drzewek muszkatołowych, mówiąc „adieu”?

Czy na parapecie dziewczynka bawiła się lalką?

Kto stał na plaży, spoglądając ponad trzy fale przyboju? I ponad zatokę? I na co?

Odpowiedzią była cisza – cisza oznaczająca zarówno rezygnację, jak i oczekiwanie, minione i nie-minione.

Wiele więcej nie pozostało.

W dwóch ogrodach straszło.

Po niewielkim ogrodzie nad zewnętrzną zatoką niedaleko miasta można było spotkać topielca; wydarzyło się to niedawno, można by powiedzieć, że jakby teraz! A w drugim ogrodzie nad wewnętrzną zatoką przebywały od dawien dawna trzy małe dziewczynki.

Domu już tam nie było. Nawet fundamenty i resztki muru, które stały jeszcze na długo po trzęsieniu ziemi i pożarze, w końcu uprzątnięto. Pozostał jedynie pawilon gościnny pod drzewami w pobliżu plaży: cztery duże pokoje położone wzdłuż otwartego ganku.

Pawilon był w dodatku wciąż zamieszkały: rezydowała w nim sama właścicielka ogrodu.

Nosiła piękne nazwisko: pani von Tak i Siak (tak nazywał się jej mąż, który pochodził ze starego rodu junkrów z Prus Wschodnich); była ostatnią ze starej holenderskiej rodziny hodowców przypraw.

Przez pięć pokoleń ogród znajdował się w rękach rodu. Jej syn byłby szóstym pokoleniem, a po nim jego dzieci – siódmym, nie było im to jednak pisane. Syn zmarł młodo i bezdzietnie, a ona była starą kobietą po pięćdziesiątce, nieposiadającą dalszego potomstwa, ani krewnych – ostatnią z rodu...

Według zwyczaju na wyspie, której mieszkańcom z trudnością przychodziło zapamiętywanie obcych nazwisk, a wszystkim nadawano przydomki, nazywano ją „panią nad wewnętrzną zatoką”, albo też „panią na Kleyntjes” – na Małym –, gdyż taką nazwę nosił ogród.

Tak się tylko mówiło, bo ogród był duży – należał do największych na wyspie. Z tyłu rozciągał się na wzgórza i lasy, dochodząc aż do podnóża stromych gór; z przodu ograniczała go wewnętrzna zatoka, a z prawej i lewej strony rzeka.

Po lewej stronie, tam gdzie było płasko, brązowa rzeka płynęła leniwie wśród drzew, niezbyt głęboka, niemal zawsze można było ją przejść w bród. Mimo to mieszkańcy wsi zmierzający do ogrodu lub w odwrotnym kierunku przekraczali ją, stojąc na tratwie i odpychając się kijem z bambusa.

Po prawej stronie wzgórze dochodziły do plaży. Mały, dziki potok wpadał, pryskając i pieniając się na skałach, do doliny i dalej do wewnętrznej zatoki.

Dolinę zamieszkiwał ptactwo domowe: kury i kaczki; były tutaj też obory dla krów – tyle czystej wody do szorowania kurników i obór – nie za blisko domu.

Na tyłach, prostopadle do pawilonu, stał szereg przybudówek o niskim suficie i grubych kamiennych murach. Wychodziły na biegnący przez całą szerokość korytarz. Z jednej strony, na drewnianej dzwonnicy, wciąż jeszcze wisiał dzwon dla niewolników; obecnie bito w niego za każdym razem, kiedy przy pływała lub odpływała piroga – na powitanie – na pożegnanie – gdy ktoś przypadkowo był w okolicy. Często też o tym zapominano.

Dalej, z tyłu, zaczynał się las, uroczy las, z licznymi ścieżkami i polanami wśród drzew, szczególnie w tej części blisko domu. Wszystko tu rosło wymieszane – pożyteczne z niepożytecznym: drzewa korzenne, owocowe, kanareczniki pełne orzechów pili, palmy: arengi cukrowe, z których ściągano cukier i robiono wino, a w wilgotnych miejscach dużo palm kokosowych i sagowców. Ale także drzewa ozdobne lub rzadkie, albo zwyczajnie ładne.

Niewielka, prosta alejka – prowadząca donikąd – rzewni, wysokich sosen o długich, zwisających igłach, tak prostych i gładkich, jak pióra kazuara, poruszanych przez najłżejszy podmuch wiatru z wewnętrznej zatoki, szeleszczących, szemrzających, jak gdyby nieustannie do siebie szeptały. Nazywano je śpiewającymi drzewami.

Przez las płynął przejrzysty strumień. Część wody odprowadzana była przy pomocy wydrążonego pnia drzewa wyżej, do kamiennego rezerwuaru z wykutą w kamieniu głową lwa, którą otaczała porośnięta zielonym mchem grzywa. Z rozwartej paszczy krzyżujące się z pluskiem strużki wody tryskały w dół do wyżłobionej z kamienia cysterny – dużej, lecz płytkiej, o szerokim murowanym brzegu, na którym można było usiąść.

Miejsce to leżało w całkowitym cieniu: cysterna, ozdobiony rzeźbą rezerwuar, pnie drzew, ziemia – wszystko było wilgotne, porośnięte gęstym mchem lub pokryte czarnymi i ciemnozielonymi plamami pleśni. Jedynie powierzchnia wody zatrzymywała światło swą klarownością, pofałdowaną przezroczytymi zmarszczkami. Było to dawne miejsce kąpeli – płytkie ze względu na dzieci. Rzadko się w nim obecnie kąpano – gdzie podziały się dzieci? Leśne ptaki przylatywały tam, by się napić.

Grube, siwe leśne gołębie ze lśniącymi zielonymi obręczami na szyjach – złodziejaszki orzechów – piły niespiesznie, wydając ostrożny gardłowy odgłos, a potem gruchały zadowolone. Kilka jaskrawozielonych papużek nierozłączek przysiadło na brzegu cysterny, pochłaniało je raczej swoje towarzystwo a nie woda. Czasami w zawirowaniu krzykliwych barw – szmaragdu, szkarłatu lub – bardziej kolorowo – wymieszanych ze sobą żółci, błękitu i czerwieni – ściągała nad zbiornik z wodą cała gromada louri, czy bêtêts (czy

jak też się one nazywają) z zakrzywionymi jak u małych papug żółtymi dziobami. Pluskały się w wodzie, kąpały, piły, trzepotały skrzydłami, dziobały się zawzięcie między sobą, robiąc piekielny harmider – jedynie przez chwilę – i odlatywały, porzucając miejsce kąpieli wśród drzew ciche i wymarłe.

A wówczas, czasami, w tej ciszy opadało kolorowym łukiem, trzepocząc, kilka kolibrów. Muskały powierzchnię wody i podlatywały ponownie w górę, lekkie jak piórko, nie przysiadłszy nigdzie nawet na chwilę.

Na skraju lasu, wciąż jednak pod drzewami, leżały wśród trawy i zarośli, jeden przy drugim, trzy dziecięce groby z nadkruszonymi, pozbawionymi napisów nagrobkami. Pochowano tam wcześniej trzy dziewczynki. Nazywały się Elsbet, Keetje i Marregie. Pani na Kleyntjes wiedziała o tym, choć stare dokumenty zaginęły podczas trzęsienia ziemi i pożaru. Dziewczynki były córeczkami jej prapradziadka.

Czasami przysiadły we trójkę na brzegu leśnego zbiornika na wodę – sza!

Minąwszy trzy groby, ścieżka wznosiła się nagle stromo, na wzgórza. Były z rzadka porośnięte wysokimi drzewami, odsłonięte i zalane słońcem, pokryte rodzajem żółtawej trawy, która pachniała ziołami, obrosnięte gęsto krzewami dzikiej róży. Ponad czubkami drzew, nad domem i przybudówkami, widać było wewnętrzną zatokę, niby okrągłe niebieskie jezioro przebarwione tu i ówdzie – tam, gdzie było płytko – na jasnozielono – a tam, gdzie bardzo głęboko – na ciemnozielono, otoczone białą linią przyboju oraz bujną zielenią wybrzeża.

Za wzgórzami leżał kolejny las – dziewiczy – z oddali raczej granatowy i fioletowy niż zielony, a za nim nieokiełznane szczyty.

Tam w górze nieustannie wiało.

Na wzniesieniach wypasano krowy pani na Kleyntjes; a i dzikie jelonki przychodziły tam niepostrzeżenie na popas.

Popołudniami, gdy nie było nikogo, bawiły się tam na słońcu również trzy małe dziewczynki.

– Płatki róż znów leżały porozrzucane wszędzie wkoło – mówił pasterz.

– Niech się bawią! – odpowiadała pani na Kleyntjes.

A czasami, niezbyt często, wszystkie trzy siedziały w kucki obok siebie nad wewnętrzną zatoką pod platanami, spory kawałek od domu, oglądając muszelki wyrzucone przez morze. Rozgrzebywały nieco piasek (co było później dobrze widoczne), bo stożki kryły się przed nimi – sza!

Wszyscy ludzie stamtąd znali owe trzy dziewczynki i upewniali się, czy to one, nie chcąc ich przestraszyć. Dopóki patrzyli w przeciwnym kierunku i udawali, że ich nie ma, spokojnie bawiły się dalej – tak zawsze mówili. Pani na Kleyntjes nigdy dziewczynek nie widziała. Żałowała tego.

Czy koniecznie musiała je zobaczyć? Odkąd pamiętała, słyszała, jak o nich opowiadano. Tu był ich dom, miały swoje stałe miejsce w jej ogrodzie na jednej z wysp w archipelagu Moluków, a także w jej życiu.

Pani na Kleyntjes wydawało się nieraz, że wyspa rozpościera się przed nią niczym mapa, na którą się spogląda, z różą wiatrów w rogu, tak jak być powinno.

Dwa półwyspy były niemal całkowicie oddzielone od siebie przez zewnętrzną i wewnętrzną zatokę, nie licząc wąskiego przesmyku nad wewnętrzną zatoką (wcale nie tak daleko od ogrodu), zwanego „Passo” – tak mówili już Portugalczycy. Teraz wioślarze przeciągali nim swoje pirogi po dróźce ułożonej z pni – z wewnętrznej zatoki na otwarte morze, rozległe i zielone, ze wznoszącymi się nad niską plażą spienionymi białymi bałwanami.

Była to górzysta wyspa – nawet nieliczne płaskie spłachetki lądu wzdłuż wybrzeża poszarpane były brązowymi skałami i rafami. Gęsto zalesiona w górach i dolinach, na nadwodnych równinach, a nawet i w wodzie. Obok bagien od strony zatoki, pokrytych hiacyntami wodnymi w kolorze lila, rosły w szeregach lśniące palmy krzaczaste lub smutne drzewa mangrowe podpierające się na powykręcanych, nagich, szczudlastych korzeniach. Do ich gałęzi przyczepiały się nieraz wodne ślimaki w pękatych muszlach udających porcelanowe owoce.

Wkoło tyle czystej wody – słodkiej wody! Rzeki, źródła, potoki, skalne wodospady.

Na wyspie znajdowała się sieć dróg, drózek i ścieżek oraz wykutych w skałach schodów, prowadzących do małych i większych wiosek, zamieszkałych przez chrześcijan i mahometan – dawne wspólnoty oznaczone mistycznymi liczbami dziewięć i pięć (pięć i dziewięć znoszą się nawzajem z wielkim trudem). Gdzieniedzie pomiędzy nimi ogród, ruiny małego fortu, stary kościółek z godłem z epoki Kompanii Wschodnioindyjskiej, barwnie pomalowany drewniany meczet ze strzelistym minaretem..., duży, wyrzeźbiony nagrobek nad zapomnianą mogiłą – „Ku wiecznej pamięci” – a przecież wieczność to tak długo! I to jedno duże miasto leżące nad zewnętrzną zatoką.

Tak dobrze znała tę wyspę, aż po najbardziej stromą górę, najgłębszą dżunglę. Opłynęła pirogą całe wybrzeże. Wiedziała, gdzie – tu, tam, wszędzie – rośnie niewidywane

przez nikogo drzewo albo roślina, gdzie kwitnie niezwykle kwiat. Jakże często wychylała się za burtę pirogi, by przez pustą w środku łodygę bambusa oglądać podwodne ogrody w zewnętrznej zatoce – zastygły w barwnym koralu krajobraz jak ze snu, nierealnie nieruchomy, w którym jedynie barwne, lekkie jak motyle rybki śmignęły czasem jak strzała lub kilka poważnych koników morskich pionowo zawieszonych w wodzie gapiło się bezczelnie na siebie. Znała też jedyne miejsce, w którym rósł jedynie rzadki czerwony koralowiec przypominający czerwone poletko koniczyny pod niebieskimi falami.

Stawała przy porcelanowej donicy w lasach wysoko w górach za ogrodem Kleyntjes. Ze środka donicy było źródło, które musiało łączyć się z morzem – skąd brałby się inaczej ten gorzki smak wody w ustach? W czasach dużej suszy modlono się tam o deszcz, składano również ofiary, ale o tym nikt nie mógł się dowiedzieć.

No i ludzie!

Pani na Kleyntjes nie знаła wszystkich ludzi na wyspie, oczywiście, że nie! Ale znała ich wielu: starą rodzinę radży o portugalskim nazwisku, i jeszcze innych, i jeszcze kogoś: duchownego, muzułmanina, który znał jedynie opowieści o „świętej wojnie” i „męczennikach wiary” (w tym miejscu na wyspie od wieków toczono walki, a on sam był prawdziwym zabijaką), chrześcijańskich katechetów, zwanych „nauczycielami”, wśród nich byli wielcy kaznodzieje; poetę-śpiewaka, głównego tancerza albo tancerkę, znachorkę nazywaną *bibi*, która potrafiła wyleczyć, sprowadzić chorobę, rzucić urok i wypędzić duchy.

W mieście – Holendrzy: wciąż zajęci, przybywający, odpływający. Nieliczni pozostawali tutaj – pochowani i przez to – na zawsze.

I podróżni ściągający z całego świata na Moluki, by prosto z łodzi kupić – szybko, szybko – muszle, koral, perły, których nie było, motyle, starą porcelanę, storczyki, ptaszki. Zadawalali się w końcu koszyczkiem goździków wypełnionym kwiatami i listkami, utkanym z kolorowych piór papużek – ach, biedactwa – i ponownie stawali za burtą statku, zapominając pomachać na pożegnanie. Dziwni ludzie!

Dziwni ludzie są wszędzie, także na wyspie:

Pokazano jej pustą chatę nad zatoką, jeszcze nie tak dawno zamieszkaną przez mężczyznę i małego chłopca, którzy w rzeczywistości byli rekinami. Tych dwóch nigdy się nie uśmiechało z powodu szpiczastych zębów. A teraz zniknęli! Dokąd odeszli? Z całą pewnością pływali we dwójkę w zatoce.

Gdyby tylko miała cierpliwość, mogłaby nieraz ujrzeć starą kobietę, „Matkę Ospy”. W domach, w których były dzieci, do drzwi wejściowych przymocowywano zawsze gałązkę z

kolcami, by starucha nie mogła wejść do środka. Z daleka nie stanowiła zagrożenia. Zresztą w ostatnim czasie dość rzadko można się na nią natknąć.

Pani na Kleyntjes często widywała za to człowieka nazywanego „mężczyzną o niebieskich włosach”. Był prostym rybakiem z wioski nieopodal ogrodu Kleyntjes, który swe posiwiące kędzierzawe włosy farbował indygowcem na piękny, wyrazisty niebieski kolor. Musiał to robić – jego jedyny syn został gdzieś daleko żołnierzem, bohaterem! W świetle księżyca młodzi mężczyźni śpiewali o nim *pantoens*, liczyli jego bitwy, fortyfikacje, które szturmował, zwycięstwa i rany – i jego ojciec miałby być starym, zgrzybiałym mężczyzną o siwych włosach? Ależ nie!

Pani na Kleyntjes przysłuchiwała się nieraz wyspie: Jak szumiały zatoki? Wewnętrzna inaczej niż zewnętrzna, a otwarte morze, rozciągające się za nimi, jeszcze inaczej. W ten sposób świstał wiatr od lądu, tak wiatr od morza, a tak wył sztorm, zwany *Baratdaja*.

Tak brzmiał rytm gongów tifa, do którego ciągnięto za wiosła dużych piróg; delikatny, klekoczący odgłos, wydawany przez sznury pustych muszli małży przywiązywanych do masztu lub na dziobie, żeby okiełznać wiatr, który chętnie się zjawiał, by się nimi pobawić; krótki plusk pirogi kołyszanej się z boku na bok.

Była muzykalna, zapamiętywała melodie wszystkich pieśni i tańców. Grano tutaj jeszcze na małych, miedzianych cymbałach z wyspy Seram, „kraju po drugiej stronie”. Dęto tam jeszcze w róg z muszli trytona, lśniącej od środka wpadającym w czerwień odcieniem pomarańcza. Wybrała się raz na długą wyprawę, by posłuchać pieśniarza, który jako jedyny potrafił śpiewać „Pieśń o umierających rybach”.

I znajome dźwięki: głosy ludzi, dzieci i zwierząt; muzyka i śpiew, dochodzące codziennie do ogrodu z wioski po drugiej stronie rzeki.

W świetle księżyca ktoś śpiewał pieśń miłosną: „Noc jest zbyt długa, moja ukochana, a droga zbyt daleka”. Inni klaskali do rytmu, dźwięk pojedynczego fletu z bambusa rozchodził się tęsknie po wodzie.

Kołysanka dla dziecka lub śpiewana mu opowiadka; pieśni wojenne dzikich Alfurów z Seram, łowców głów.

A czasami, niezwykle rzadko, stara pogańska pieśń żałobna (uwważaj, by nie dowiedział się o tym nauczyciel!), śpiewana komuś, kto przed chwilą zmarł. „Sto rzeczy”, tak się nazywała, od stu rzeczy, które miały przypominać o zmarłym, a o których mu w niej przypomniano i o które pytano.

Nie tylko o ludzi w jego życiu – tę dziewczynę, tę i ową kobietę, to dziecko i tamto, ojca i matkę, brata albo siostrę, dziadków, wnuki, przyjaciela, pobratymca – czy też o to, co

posiadał – piękny dom, ukryte na poddaszu porcelanowe talerzyki, szybką pirogę, ostry nóż, niewielką inkrustowaną tarczę z odległych czasów, dwa srebrne pierścionki noszone na prawej dłoni, na palcu wskazującym i kciuku, oswojonego gołębia leśnego, sprytnego, czarnego ptaka *louri*, ale także – tak nawoływano w pieśni – posłuchaj, jak wieje wiatr, jak z pełnego morza nadciągają spieszenie białe grzywy fal! Ryby wskakują na nie i bawią się razem. Spójrz, jak błyszczą muszle leżące na plażach, pomyśl o podwodnych koralowych ogrodach, o tym, jakiej są barwy. No i zatoka, zatoka! Przecież chyba nigdy nie zapomnisz o zatoce? Potem mówiono: „o, duszo tego i tamtego” i kończono długim posepnym „ee-ee-ee-ee...?”, które niosło po wodzie.

Albo przysłuchiwała się wraz z innymi stukaniu dochodzącemu tuż znad przeciwnego brzegu wewnętrznej zatoki, z miejsca, w którym dawniej Portugalczycy budowali statki – teraz rosły tam tylko drzewa. Uderzenia młotka w drewniane belki (naprawiano tam piękne galeony z ornamentami, zapewne zbito tam również z desek jakąś szubienicę) rozbrzmiewało bardzo wyraźnie nad wodą – czy mógł to być jakiś ptak?

A gdy przypląwała lub odpływała piroga, należało bić w stary dzwon w ogrodzie Kleyntjes.

Czasami pani na Kleyntjes wdychała zapachy wyspy: suszących się przypraw – goździków, nasion i kwiatów muskatołowca, trawy cytrynowej, lub też kory drzewek kajeputowych albo wanilii, różnych rodzajów cytryn i innych owoców, na przykład durianów, których nie znosiła; ziół i kwiatów rosnących w jej ogrodzie, lecz także odór schnącego koralu i ten cierpki zapach błota z bagien na przesmyku, gdy powiał stamtąd wiatr.

Kadzidła – prawdziwego arabskiego – takiego, jakie paliła jej babka.

Szarej ambry i czarnej żywicy benzoesowej, roślinnego piżma, najlepszej jakości wody różanej, arabskiego styraksu lub – zamiast niego – specjalnego mielonego korzenia; były to składniki bursztynowych kulek.

A w jej pokoju stał wciąż stary drewniany móździerz na wysokiej nóżce, w którym wcześniej delikatnie rozbijano – nie tłuczono – niektóre muszle, by wymieszać je z suchym pachnidłem. „Onyx marina” albo morskie perfumy „nadające pachnidłu męską siłę i trwałość, jak kontrabas w muzyce” – tak mówił pan Rumphius<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Niemiecki botanik Georg Eberhard Rumphius (1627–1702), autor bogato ilustrowanych publikacji poświęconych florze wyspy Ambon oraz jej faunie morskiej – przyp. tłum.



To było wiele rzeczy, lecz nie wszystkie, i niewystarczająco dużo. Pozostały jeszcze wyobrażenia, postaci przedstawiane w tańcach, pieśniach i opowiadaniach, wymyślone ot tak, czy potrafi je wszystkie wymienić?

W samej wewnętrznej zatoce:

Dosłownie za rogiem, w miejscu, w którym wewnętrzna zatoka przechodziła w zewnętrzną, tam, gdzie była najwęższa i najgłębsza z powodu oddziaływania pływów morskich, spacerował nieraz po przylądku marynarz, młody Portugalczyk, który kiedyś tutaj utonął. Próbował wrócić do domu, słyszał, jak w oddali wołano jego imię – nazywał się Martijn.

Albo Martha, młoda córka radcy z nieistniejącej już osady. W księżycową noc próbowała przepłynąć na swym koniku na drugi brzeg, do ukochanego – ubożego rybaka bez czółna – pirogi z wioski jej ojciec kazał przywiązać wysoko na łądzie. Zawsze się przeprowiała – nigdy nie dotarła...

U stóp przylądka, we wgłębieniu pomiędzy skałami czyhała kałamarnica, nie taka malutka, jakich niezliczenie wiele pływa w zatoce, lecz olbrzymia – *Ta* właśnie – z ośmioma wijącymi się długiastymi mackami pełnymi przyssawek, zerkająca ukradkiem swymi czarnymi wyłupiastymi oczkami. Widziała wszystko, zarówno w świetle, jak i w ciemnościach, jej jednak żaden człowiek zobaczyć nie mógł.

Każdy rybak i wiosłarz o tym wiedział, wszyscy sternicy mieli się na baczności tam. w okolicach przylądka.

Dalej wielkie liliowe bagna i przesmyk i dróżka wyłożona balami, skąd tak często dochodził rytmiczny śpiew towarzyszący przeciąganiu pirog.

A jeszcze dalej w tę stronę, obok ogrodu Kleyntjes, leżała mała wioska. Mieszkała w niej, oprócz „mężczyzny o niebieskich włosach”, kobieta wykonująca „taniec Muszli”. Pani na Kleyntjes widziała go raz jeden, dawno temu – był właściwie zabroniony. Teraz już go nie tańczono ani w wiosce nad rzeką, ani nigdzie indziej. Zapamiętała go na zawsze.

Przy akompaniamencie licznych gongów i bębnów oraz pojedynczego fletu kobieta rozpoczynała taniec. Boso, z odkrytą głową, w obcisłym ciemnym sarongu i kebai, stawiała ostrożnie niewielkie kroki do przodu i do tyłu, obracała się wokół własnej osi, a potem zataczała szeroki krąg na przeznaczony do tańca polanie, aż jej ciało zaczynało poruszać się w rytm fali, jakby szła po wodzie, po tafli morza. Jednocześnie trzymała wysoko w górze w prawej, w lewej, a nieraz w obu rękach, okazałą, jasną muszlę Nautilusa, jakby z pomiętego białego pergaminu, niemal przezroczystą – zwaną również „Doekhuyve” – „muślinową kapką” przez podobieństwo do kobiecego czepka. Kroczyła powoli, a za nią i za Muszlą

podążali wszyscy mężczyźni i kobiety z wioski, ciemnowłosi i ciemnoskórzy jak i ona – cała wspólnota – dokąd?

Dokąd ich prowadziła? Bo przecież dokądś ich ze sobą zabierała.

Co oznaczała Muszla?

Gdy późną nocą pani na Kleyntjes wracała do ogrodu (jeden z jej ludzi przewiózł ją przez rzekę) i, stojąc jeszcze na tratwie, obejrzała się, tańczących pochłonęła ciemność, także tancerkę i jej uniesione w górę ramiona, a wielka Muszla wydawała się unosić się sama w powietrzu, w przymglonym późnym świetle księżyca pomiędzy drzewami – nieziemsko jasna – wyłaniała się z czerni i ciemności.

Zastanawiała się wówczas, a i do tej pory nieraz nad tym rozmyślała, czy muszla potrafi pocieszyć człowieka i otrzeć jego łzy.